

Odpowiednie dać rzeczy słowo...

Zamieszczane w PAUzie 466 odpryski konferencji na temat Etyki Komunikacji w polityce i w mediach, która miała miejsce kilka miesięcy temu w Senacie RP, dobrze oddają – jak sądzę – narastającą w Polsce atmosferę niezgody na sposób używania, a właściwie nadużywania, języka w debacie politycznej. Rozlega się wołanie o zaniechanie „mowy nienawiści”, lub choćby o zmianę stylu wypowiedzi, czy o minimum dobrego wychowania. Po prostu mamy już dość brutalności tego języka, w którym nie ma miejsca na zróżnicowanie tonu, na jakąś finezję, na słowną szermierkę. W którym słowa są traktowane jak kije bejsbolowe, którymi wzajemnie się okładamy. Dotyczy to przede wszystkim polityków i dziennikarzy komentujących wydarzenia. Ale dotyczy też nas wszystkich, naszych rozmów w rodzinach, naszych debat z przyjaciółmi, naszych relacji w pracy.

Zebrani w Senacie uczeni językoznawcy przedstawiali mądre zasady, pozwalające rzeczowo i w sposób kulturalny debatować o sprawach nawet najbardziej kontrowersyjnych i wzbudzających emocje. Kilka wypowiedzi udało się umieścić na naszych łamach. Tutaj chciałbym jeszcze dodatkowo rozpropagować piękną i niezwykle prostą zasadę, która zrobiła na mnie największe wrażenie, a została sformułowana przez cytowaną podczas konferencji Panią Profesor Annę Wierzbicką: „Aby kogoś przekonać, należy mówić prawdę, należy przedstawiać ją zrozumiale i należy wypowiadać ją ŻYCZLIWIE” *.

Wszystkie te reguły odnoszą się naturalnie do debaty tradycyjnej, która powinna zasadniczo być próbą przekonania słuchaczy do własnych racji, względnie wykazania, że nie ma racji przeciwnik polityczny. Otóż każdy, kto przeczytał *Erystykę* Schopenhauera, dobrze wie, że jednym z najprostszyszy sposobów wygrania debaty jest sprowokowanie przeciwnika, aby nas obraził.

Wtedy łatwo można powiedzieć: widać, że nie masz argumentów, skoro uciekasz się do inwektyw. Tak było przez wieki. Okazuje się jednak, że dzisiaj ta metoda najwyraźniej przestała działać, skoro wszyscy – bez żadnej żenady – obrażają się wzajemnie, jakby to było coś zupełnie normalne.

Można to oczywiście przypisać ogólnemu upadkowi kultury oraz obyczajów i jest w tym zapewne duża część prawdy. Zmienia się język, więc słowa, które jeszcze dziesięć lat temu zdawały się niedopuszczalne, weszły dzisiaj do powszechnego użytku i rażą już tylko starców takich jak

ja. Myślę jednak, że sprawa jest głębsza. Widać bowiem, że to sama debata polityczna zmieniła swój charakter, przestając służyć – jak dotychczas – przekonywaniu nieprzekonanych. Teraz jej głównym celem jest agitacja i mobilizacja zwolenników. To całkiem logiczne: w spolaryzowanym społeczeństwie ludzie rzadko zmieniają poglądy, więc wybory wygrywa ten, kto lepiej zmobilizuje swoich stronników, aby poszli do urn, zamiast wyjechać na weekend. Mówi się więc wyłącznie do „swoich”, nie zwracając uwagi na resztę. Wobec tego inwektywy pod adresem oponentów są dopuszczalne, a nawet mogą być mile widziane.

Dlatego nie sądzę, aby same apele o dobrą wolę i o powściągliwość językową mogły rzeczywiście przynieść jakiegokolwiek praktyczny rezultat. Ostry, poniżający przeciwnika język zawsze wszak był (i chyba ciągle jest) najlepszym sposobem zagrzewania żołnierzy do boju. A polityka to przecież wojna**. Wojna, w której podstawową bronią jest właśnie język.

Trudno więc dziwić się, że w potrzebie używa się dział (słów) najcięższego kalibru. Toteż wydaje mi się, że zamiast apelować do poczucia przyzwoitości, lepiej wysłać politykom ostrzeżenia przed przekraczaniem pewnych granic. Nie dlatego, że to nieetyczne***, tylko dlatego, że może być politycznie szkodliwe, grożąc rozwścieczeniem, a więc i dodatkową mobilizacją, przeciwników.

Ta zmiana charakteru debaty politycznej ma też dalsze, bardziej bolesne konsekwencje, o których wiele już napisano. Wypowiedziane słowa nie znikają przecież bez śladu, są zapamiętane. Zapamiętane nie tylko przez obrażanego, zapamiętane często nawet mocniej i dłużej przez tego, który obraził. W rezultacie z przeciwników stajemy się wrogami. Gorzej: zaczynamy sobą gardzić. Zrywają się relacje i znikają możliwości porozumienia, nie mówiąc już o współpracy.

Mam wrażenie, że w naszym pięknym kraju sprawy zaszły już tak daleko, że nie tylko nie mamy zamiaru przeciągać przeciwników na swoją stronę, ale chcemy ich wręcz do tego zniechęcić. No bo nie chcemy przecież mieć w swoim obozie zdrajców, głupków, oszustów, kłamców, czy zbrodniarzy.

Przypomina się zdanie napisane wiele lat temu przez Juliana Tuwima: „Nie będę z Panem rozmawiał, bo mógłby mnie Pan przekonać, a wtedy znalazłbym się w jednym obozie z Panem”.

ANDRZEJ BIAŁAS

* Cytuję z pamięci. Mam nadzieję, że zbytnio nie przekreśliłem.

** Marszałek Montgomery: Wojna to gra bardzo brutalna. Ale polityka jest gorsza.

*** Anegdota mówi, że jeden z doradców cesarza Karola V sugerował mu, aby pozbył się kilku książąt we Włoszech: – Najlepiej za pomocą trucizny. – A moje sumienie? zapytał cesarz – Jeżeli Wasza Wysokość ma sumienie, trzeba natychmiast abdykować!